Rok I. Nr. 3.
Marzec 1933.
Redakcja i Administracja:
Wilno, ul. Uniwersytecka 9-9
czynna
pon., środy, piątki g. 19-20.
Cena pojed. numeru 20 gr.



MIESIĘCZNIK
POROZUMIENIA
AKADEMICKICH
KATOLICKICH
STOWARZYSZEŃ
WILNO

Snobizm Śród Literackich.

Dancingowe refleksje.

Nie przebrzmiały jeszcze echa jubileuszu prof. Zdziechowskiego. Wilno uczciło jubilata przedewszystkiem jako bojownika o wolność i godność człowieka, jako apostoła idei etycznych, jako myśliciela religijnego.

Przygodny świadek mógł z uroczystości jubileuszowych wynieść wrażenie, że społeczeństwo wileńskie nietylko rozumie i podziela ideały wielkiego syna swej ziemi, ale że hasła jego gotowe z zapałem w czyn wprowadzić, że dostrzegłszy nareszcie straszną zmorę moralnego rozkładu, wysysającą naszą krew duchową, rozpocznie z nią walkę na śmierć i życie.

Ale przysłowiowy ogień zgasł rychło, a górę nad nim wziął snobizm, czy poprostu rodzima kołtunerja. Grzężniemy nadal w nędznym półbolszewizmie, niezdolni do gorętszego odruchu oburzenia, do jakiejś żywszej reakcji, gdy wypadnie stanąć oko w oko z głosicielami idei wrogiej, podważającej podstawy naszej kultury. Lada nieuk zaimponuje nam, aż do zapomnienia języka w gębie, byleby wystąpił z tupetem i zasypać potrafił górnolotnie brzmiącemi frazesami.

Przeraźliwy brak silnych przekonań, tej jedynie skutecznej broni w walce ideowej, uwydatnia się jaskrawo w zestawieniu dwóch śród literackich, oddzielonych od siebie zaledwie trzytygodniowym okresem czasu: Dnia 15 lutego oklaskiwano na środzie nieugiętego obrońcę ideału religijnego, — dnia 8 marca niewiele mniej oklasków zebrał w tejże sali od prawie tej samej publiczności zawzięty przeciwnik tego ideału, Jan Nepomucen Miller, który wystąpił ze śmiałym, acz kiepsko uzasadnionym, pomysłem zastąpienia religji objawionej przez kult bohaterów i wielkich ludzi, kult herosa.

Ten prorok nowej, niedonoszonej jeszcze wiary nie zadał sobie nawet fatygi poznania tego, co zwalcza. Udrapowawszy się w łatany płaszcz filozoficznej erudycji, pozarywany z Comte'a, James'a i innych myślicieli, stąpając ciężko na szczudłach silnych efektów retorycznych, popisywał się wobec elity polskiego inteligenckiego Wilna zdumiewającą ignorancją nietylko filozofji i psychologji religji, ale nawet elementarnych rudimentów doktryny katolickiej, podstawowych zasad katechizmu.

Dowody? Proszę bardzo: 1) Uczucia religijne wzbudzają przez imaginację poczucie łączności z kimś wyższym od nas, ale jednorodnym z nami. — Bóg chrześcijański potraktowany tu jako twór imaginacji narówni z bóstwami pogańskiemi. Ciekawe pytanie, pod jakim względem człowiek jest z Nim jednorodny, czy też jest tworem imaginacji i czyjej? 2) Katolik dba tylko o zbawienie własnej duszy, katolicyzm jest aspołeczny. — Jak z takiem twierdzeniem pogodzić fakt rozszerzania się katolicyzmu, jego prace misyjne, jego dzieła miłosierdzia? 3) Wyrazem kultu zmarłych jest w liturgji katolickiej msza żałobna. — Sześcioletnie dziecko mogłoby pouczyć prelegenta, że msza żałobna jest modlitwą za zmarłych, nie do nich. Szkoda, że p. Miller nie słyszał nigdy o katolickiem nabożeństwie do świętych, znalazłby w niem o wiele trafniejszy argument dla swej tezy. 4) Uniesienie patrjotyczne Świętochowskiego podczas pogrzebu Mickiewicza na Wawelu potraktował p. Miller jako najczystszy objaw uczuć religijnych. Gdyby był kiedy sam doświadczył obu tych kategoryj uczuć, nie byłby ich pomieszał. Ale trudno: daltonizm, czyli nieodróżnianie dwu całkiem niepodobnych barw jest chorobą nieuleczalną. Na daltonizm psychologiczny również niema rady. 5) Wreszcie ostatnia bomba: Czy może ocenić Odę do młodości, walczącą z ciemnotą i zacofaniem, młodzież, która się karmi dancingami i rekolekcjami? — Najzagorzalszy ateista chyba przyzna, że pokarm, jaki wynoszą ludzie z dancingów, różni się gatunkowo od tego, jakie dają rekolekcje...

Oszołomiona śmiałem natarciem, przytłoczona paradoksami, ogłuszona brzękiem, blagą dźwięczących frazesów, publiczność ustami przewodniczącego podziękowała prelegentowi za uraczenie jej olbrzymim materjałem myślowym, zawartym w tych enuncjacjach. Uprzejmy gospodarz śród, chcąc zapewne ustrzec gości od bólu głowy, o jaki mógł ich łatwo przyprawić zbytni wysiłek mózgowy, pośpieszył zapobiegliwie ująć ewentualną krytyczną myśl w obcęgi i oznajmił, że program wieczoru nie przewiduje dyskusji.

Po przerwie odsłoniło się drugie oblicze Janusowej środy. P. Janta-Połczyński odczytał garść swych wrażeń i spostrzeżeń z podróży do Sowietów. Po namaszczonej propagandzie bezbożnictwa w imię szczęsnego jutra przyszłych, nowych, udoskonalonego typu ludzi — z bezpretensjonalnego opisu wyjrzał tragiczno-potworny grymas dzisiejszej ościennej rzeczywistości. Kontrast tych dwu aspektów jednego wieczoru nie zdawał się frapować nikogo: Oklaski, rozdzielone równo, bez krzywdy, między obu prelegentów rozległy się złowieszczem echem po ideowej pustce snobistycznego kwiatu inteligencji, wyhodowanego na mleku literatury wileńskiej, owocującego już sto trzydziestą którąś środą literacką.

Pomimo że na „rekolekcjach" millerowskich widzieliśmy przedstawicieli prasy wileńskiej, jednakże tylko „Kurjer Wileński" zdał z niej mizerną relację, dyskretnie się powstrzymując od wyrażenia własnego poglądu na referowane sprawy. Natomiast katolickie „Słowo" milczy przezornie po dziś dzień, hurra-katolicki „Dziennik" — tem bardziej.

Dr. A. Janitz.

Malarstwo religijne Zofji Baudouin de Courtenay.

W przedmowie do katalogu wystawy ikon starorosyjskich, która przed paru laty z ramienia rządu bolszewickiego zwiedziła większe miasta europejskie,



Zofia Baudouin de Courtenay.

Modlitwa w Ogrójcu (tempera)

kościół w Starachowicach.

budząc powszechny zachwyt, rzucone było zdanie: „bogowie, którzy umarli, są piękni, jak bogowie Olimpu, jak dziś Bóg i Święci Chrześcijańscy".

Religja chrześcijańska żyje i coraz potężniejszą się staje, tylko sztuka religijna w ostatnich czasach zdąża ku upadkowi. A jednak ta sztuka jest obecnie jednym z największych orężów w walce szatana z Kościołem. Bolszewicy zmobilizowali najlepsze siły artystyczne do tej walki, o czem świadczy np. doskonale redagowany „Bezbożnik", oraz obrazy treści tendencyjnej, malowane z dużym talentem. Nietylko zresztą w Rosji, również i w Meksyku istnieją tacy współcześni utalentowani malarze, jak Montenegro, Don Ribera lub Jackson (The Studio, r. 1927 i 1930), których pierwszorzędne obrazy o treści antyreligijnej rzucone są na szalę opinji publicznej.

I powstaje myśl: gdyby w obecnych czasach zjawił się malarz religijny o tak wielkim stylu, jak Giotto czy Fra Angelico i znalazł odpowiednią, piękną a żywą formę, np. dla kultu Serca Jezusowego (nie jak dotychczas niepoważną i ckliwą), — to czy miałby miejsce wspomniany ustęp z katalogu. Wysiłki malarzy religijnych XIX wieku skierowane były przeważnie ku odpowiedniemu przedstawieniu Bóstwa, interesowały ich tematy z punktu widzenia nietyle malarskiego, co literackiego i sugestją tematu starano się zasłonić ubóstwo techniki i koncepcji malarskiej. Panowało też w sztuce religijnej powierzchowne naśladownictwo dawnych stylów historycznych albo też gruby naturalizm, tak nie licujący z istotą malarstwa religijnego.

Jakkolwiek w ostatnich czasach daje się zauważyć u artystów żywsze zainteresowanie sztuką religijną, to jednak ostatnie wystawy tej sztuki w Padwie, Antwerpji i u nas, w Zachęcie Warszawskiej, nie zwiastują nowych a ożywczych prądów w malarstwie religijnem. Nie widzimy tu przedewszystkiem wysiłków skierowanych ku odrodzeniu sztuki monumentalnej (nie sztalugowej), ściśle złączonej z architekturą. Musimy wyraźnie sobie uświadomić, że odrodzenia sztuki religijnej nie można szukać w tematach, stylach, takich czy innych kierunkach, tylko u samych podstaw — a taką podstawą jest doskonała kompozycja, oparta o dobre techniki malarskie.

Duży postęp pod tym względem widzimy już obecnie w sztuce dekoracyjnej i rzemiośle artystycznem, gdzie kompozycja wypływa wprost z materjału i narzędzia. W architekturze również udoskonalona konstrukcja i nowe materjały sugerują twórcom nowe formy budownictwa.

Zofja Baudouin de Courtenay zrozumiała te zasady i studjując długie lata składniki farb, a nawet sama farby przyrządzając, ucząc się technik malarskich i kompozycji przez studjowanie dzieł dawnych wielkich mistrzów, pierwsza zapoczątkowała odrodzenie malarstwa monumentalnego, jakim jest fresk, tempera lub enkaustyka.

Na czem polega jej kompozycja monumentalna?

Przedewszystkiem podporządkowuje się ona architekturze: widzimy więc w jej szerokich, o dużym rozmachu polichromjach wielkie linje architektury — kompozycje jej specjalnym układem linij podkreślają i uwydatniają płaszczyzny ścian, łuki lub sklepienia. Malarstwo monumentalne nie jest to tylko upiększenie ściany, nie jest czemś w rodzaju kilimu, który może równie dobrze ozdabiać tę lub inną ścianę. Kompozycje artystki ściśle są związane z przeznaczeniem i kształtem elementów architektonicznych wnętrza kościoła: tak, na filarach, gdzie maluje artystka postaci Świętych, przeważają linje pionowe, podkreślając tem dźwigającą rolę filara; na sklepieniach specjalnym ornamentem podkreśla ona konstrukcyjne żebra sklepienne; na łuku znów tęczowym rozkłada artystka kompozycję jak gdyby na klińce, z których łuk się tworzy.

Jako tematy do swych polichromij używa artystka znane i przyjęte przez Kościół symbole i wyobrażenia Świętych. Kompozycje jej są pełne życia, które jednak nie wyraża się przez efektowne, naturalistyczne ruchy przedstawionych postaci; kompozycje jej, ciche, spokojne i jasne żyją i drgają cudną gamą kolorów, ułożonych w rytmicznym ładzie. Żywe i pełne świeżości, świadczą one o szczerym i żarliwym stosunku artystki do religji. Utarte symbole i tematy biblijne nabierają u niej nowego życia — są nietylko motywem dekoracyjnym, ale stają się równocześnie wyrazem jej uczucia religijnego; w kompozycjach jej wyraża się równocześnie radość i pokora, które w tak szczególny sposób znamionują życie św. Franciszka z Assyżu i twórczość malarską Fra Angelico



Zofja Baudouin de Courtenay.

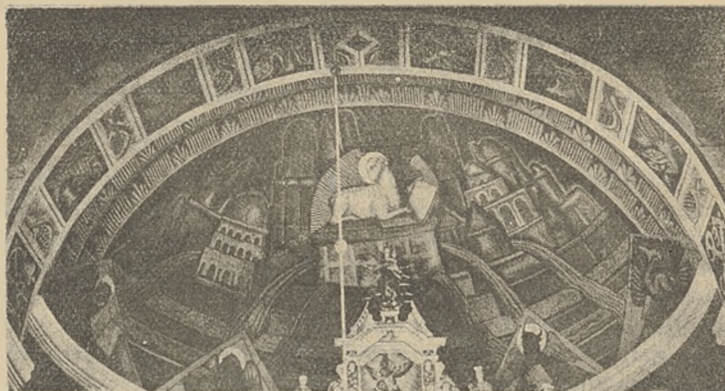
Głowa Chrystusa (szczegół fresku)

kościół w Chruślinie.

da Fiesole. Do Fra Angelico możnaby pod tym względem Zofję Baudouin de Courtenay porównać. Zwłaszcza w niektórych jej kompozycjach można zauważyć ten radosny stosunek do tematu religijnego, jak np. w „Pokłonie Trzech Króli“ lub „Godach w Kanie Galilejskiej“ (kościół w Starachowicach).

Zofja Baudouin de Courtenay stworzyła polichromje w ciągu ostatnich 10 lat w następujących kościołach: nowy drewniany kościół w Starachowicach, gdzie barwny, o szafirowem tle fryz, przedstawiający sceny z życia Chrystusa, malowany temperą, znakomicie harmonizuje z drewnianem wnętrzem kościoła; freski w prezbiterjum kościoła w Wierzbniku, obok Starachowic, w wojew. Kieleckiem; w gotyckim kościele w Raciążku pod Ciechocinkiem artystka ozdobiła prezbiterjum postaciami Świętych polskich, malowanemi al fresco — szczególnie piękny jest obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na tronie w otoczeniu aniołów. Dalej następują freski w kościele w Radziejowie (diecezja Włocławska) i w Grodżcu pod Koninem. W tym ostatnim kościele, wśród całkowicie polichromowanego wnętrza zwracają uwagę olbrzymie kompozycje freskowe: „Śmierć św. Józefa“, „Chrystus w majestacie“ i „św. Wojciech (chrzest Polski)“. W latach 1931/2 maluje artystka dwa zabytkowe kościoły w Bielawach i Chruślinie pod Łowiczem. W Bielawach, w scenach z życia św. Franciszka, Dominika i św. Klary i w Nawiedzeniu NMP. artystka wznosi się na wyżyny swej twórczości i stwarza polichromje tak piękne w harmonji barw i kompozycji, że każą przypominać najlepsze tradycje malarstwa religijnego. Wreszcie w Chruślinie artystka ozdabia freskami całe wnętrze kościoła: fryz w prezbiterjum, przedstawiający Świętych polskich, oryginalny i pełny sentymentu do tych świętych; piękne są tu też Stacje Męki Pańskiej i oryginalnie pojęty Sąd Ostateczny. Fresk pod chórem, wyobrażający Warneńczyka w walce z Turkami, łączy w sobie walory kompozycji figuralnej z walorami ornamentacyjnemi i kolorystycznemi wschodnich makat. Najpotężniejszą zaś, oryginalną kompozycją w tym kościele jest obraz malowany woskiem na kopule prezbiterjum i przedstawiający Baranka Bożego wśród Nowej Jerozolimy (patrz zał. reprodukcja). Illustruje ona słowa św. Jana z Apokalipsy: *„A miasto nie potrzebuje słońca ani księżyca, aby świeciły w niem, albowiem jasność Boża oświeciła je, a świecą jego jest Baranek ..... a samo miasto - złoto czyste, podobne szkłu czystemu ....“*

Artystka stwarza kompozycję całkiem nowoczesną, zastosowując się jednak do tych słów Apokalipsy: Kryształowa architektura tego miasta fantastycznego otacza Baranka Bożego, zespolonego dekoracyjnie w jedną, piękną całość z Księgą Żywota, z Krzyżem, z którego wyrastają liście jak z Drzewa Żywota, a otoczonego półkolem promieni. Z pod stóp Tronu spływają rzeki Żywota po stopniach, na których wznosi się miasto Jerozolima. W trójkątach, umieszczonych u podstawy kompozycji, znajdują się symbole 4-ch ewangelistów. Piękny ornament i symbole chrześcijańskie tworzą obramienie kompozycji. Rysunek całości wyrasta niejako od obramiających go ram półkola i te półkola powtarzają się w rysunku promieni, otaczających Baranka Bożego, w kopułach i arkadach miasta. Półkole, linje poziome i pionowe są elementami, rytmicznie powtarzającemi się w piętrzącej się architekturze miasta i wreszcie łączą się w centralnym harmonijnym akordzie Krzyża i Baranka Bożego. Pełnia wyrazu tej kompozycji występuje dopiero wtenczas, gdy się widzi przepiękny jej koloryt: bardzo stonowane, o jakiemś mistycznem, wewnętrznem świeceniu złocisto oliwkowej architektury, rozwidnia się tylko białym płatkiem w Baranku Bożym i wzbogaca się złoceniem otaczających Go promieni.



Zofja Baudouin de Courtenay.

Nowe Jeruzalem (enkaustyka)

kościół w Chruślinie.

Wspomniane kompozycje Zofji Baudouin de Courtenay, jako prawdziwie religijne, żywe i oryginalne, oparte o doskonałe i trwałe techniki malarskie, zwiastują odrodzenie malarstwa religijnego i są kapitalnym orężem w walce o ideę Chrystusową.

Jan Borowski.



Zofja Baudouin de Courtenay.

Stacje Męki Pańskiej (fresk i enkaustyka)

kościół w Chruślinie.

W SZPITALU.

Matowe, południowe godziny na szybach niepotrzebnie mokną,
tam deszcz na drzewach rozpięty wydzwania absurdalny nokturn.

Nigdy się nie ma zadużo zachodów czerwonych i sinych,
za rok znów będzie czerwiec, ale już czerwiec inny.

Jutro potrwa równie długo jak przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj,
każdy dzień kosztuje osiemnaście godzin życia.

Na oczy opuchnięte minutę za minutą roni,
zanim się cały osypie, jak więdnące u wezgłowia piwonje.

Wtedy, w ospały wieczór lękliwie powieki opuści
czas, który ciąży, jak ziemia (czas, który nigdy nie wróci).

Nocą siostra dyżurna drży skulona na kanapie,
umarły dzień chodzi po salach, wzdycha, męczy się i szarpie.

Irena Reksztisówna.

O prognostykach dla poezji polskiej.

(Dokończenie).

Materjalizm i spirytualizm.

Tak tedy materjalizm Millera i Broniewskiego, występujący w ich poglądach na przyszłość poezji, zasadniczo przeciwstawia się spirytualizmowi, który do rozkwitu doszedł w epoce romantycznej, a na schyłku jej został niejako testamentem — poezją Norwida przekazany przyszłym pokoleniom do ostatecznego zrealizowania.

Samem postawieniem zagadnienia uniwersalizmu, szczególniej zaś zagadnienia pracy Miller zbliżył się do Norwida (nie przesądzam, o ile on swe pomysły Norwidowi zawdzięcza), dzieli go wszakże od Norwida przepaść. Dla Norwida istotą rzeczy jest byt duchowy, rozwijający się w wieczność, dla Millera — bytem jest życie zamknięte w materjalnej, ograniczonej doczesności. U Millera uniwersalizm pochłania i skazuje na zagładę indywidualności, u Norwida on je uwydatnia („żeby być narodowym, trzeba być nadnarodowym"). Tęsknoty mistyczne Millera prowadzą go do wyczucia jedynie „świadomości rozleglejszego bytu"(— życia), „jaki się wytwarza po przekroczeniu zazdrośnych granic życia indywidualnego" i prowadzi go do wyczucia swej jedni z wszechświatem. U Norwida predyspozycja mistyczna daje mu przedewszystkiem (jak mówią mistycy) „doznanie Boga". W związku z tem dalsze wywikłania ze skomplikowanych zagadnień doczesności ufundowuje Norwid na głębokiej wierze w Boga, Miller — na poczuciu swej jedni z otoczeniem materjalnem. Norwid do wszystkich spraw ziemskich przykłada miarę zjawisk nadprzyrodzonych, Miller koncepcje pananimistyczne deformuje poglądami zaczerpniętemi z teoryj społecznych, hołdujących kolektywizmowi.

W związku z powyższem i poglądy Norwida na „pracę" wielce się różnią od poglądów Millera i uniknęły one sprzeczności, w których ugrzązł autor „Zarazy w Grenadzie". U Norwida wyjątkowej wartości nabiera praca, ujawniająca piękno, które jest profilem Bożym, poznawalnym ludzkiemi sposobami (t. j. zmysłowo i rozumowo)[1]. Praca artysty ma objawić nietylko piękno, lecz i prawdę, gdyż pierwsze bez drugiego jest złudnem, nie zaś istotnem pięknem. Piękno jest profilem (formą zewnętrzną) abstrakcyjnej prawdy. Dlatego, oceniając artystę, uważa Norwid za wskazane spytać przedewszystkiem:

Czy .... prawdę na swym stawiał grobie,
Czy się jej grobem podpierał ciosanym?[2])

Motorem pracy artystycznej nie jest nieuchwytna „tęsknota uniwersalistyczna", lecz realna, głęboko odczuta *Miłość*. Przez nią artysta, jego dzieło i przedmiot jego uczucia nabierają szczególnej wartości. Z prawdziwych dzieł sztuki Miłość, która tkwi w ich genezie, da się odczytać i po wielu wiekach, a przez to staje się wartością naprawdę uniwersalną

O, Grecjo — ciebie że kochano, widzę
Dziś jeszcze w każdej marmuru kruszynie,
W naśladownictwie którego się wstydzę
Za wiek mój—w kolumn karbowanych trzcinie,
Opłakiwanej od wierzchu akantem,
W łamanych wierszach na łkania zapału
I w sokratejskiej sowie z ócz brylantem
I w całej Filos twojej — aż do szału[3]).

A więc Miłość, którą Norwid uważa za emanację doskonałości Bożej[1]), powoduje tworzenie Piękna w świecie poznawalnym zmysłowo, t. j. daje istnienie sztuce; — ta zaś przez piękno wiąże się z niebem, a przez pracę — z ziemią. Praca przez to staje się jednem z ogniw, łączących nas, ludzi, z najwyższym ideałem, traci swój charakter kary za grzech pierworodny i staje się źródłem radości i szczęścia. To metafizyczne uzasadnienie znajduje i psychologiczne potwierdzenie, gdyż doświadczalnie stwierdzamy, że praca twórcza artysty nietylko nie jest odczuwaną jako ciężar ani przez niego ani, że tak powiem, przez spożywców jego dzieł, owszem jest dla obu stron źródłem rozkoszy estetycznej.

Przeniesienie pracy na grunt kolektywizmu odbywa się u Norwida konsekwentniej niż u Millera i bez zatraty indywidualności twórcy i widza, czy słuchacza.

Więc stąd to — stąd i słuchacz i widz jest artystą,
Lecz prymem ten, a owy niezbędnym chórzystą[2]).

W ten sposób nie na komunistycznem wyrównaniu wszystkich indywidualności, nie na podcięciu wyższych do poziomu niższych, lecz na wymierzeniu właściwego miejsca „prymowi", a właściwego „chórzyście" oparta zostaje harmonijna twórczość kolektywu.

Nadto jeszcze godnym uwagi jest cel pracy u Norwida. Zostaje ona skierowana ku sprzężeniu ziemi z niebem, ku zbliżeniu królestwa Bożego, u Millera zaś, jako się już rzekło, ku ujarzmieniu natury, gwoli używaniu ludzkości, która, zdaniem Norwida, w swej dzisiejszej formie jest *„wielka i płaska jak sfinksów zagadka"*[3]).

Zdaniem Norwida, praca nie opromieniona celem nadziemskim, dążnością do piękna i prawdy absolutnej, skierowana ku doczesnym, jak u Millera, celom ludzkości, pójdzie zawsze na marne.

Bądź sobie jak tam chcesz realnym człekiem,
Nic nie poradziszł twoje każde dzieło,
Choćby się z cudów Herkulejskich wszczęło
Niedopełnionem będzie i kalekiem.

Więc prac początek, prac pierwsza litera
Nie to, co wasza dziś realna szkoła
Uczy — zarówno płytka, jak nieszczera.
— Pracować musisz zawsze ż potem Czoła[4]).

Cóż jest pierwszym i najważniejszym warunkiem tej metafizycznie pojmowanej pracy?

„Pracą pierwszą jest umysłu stałość" odpowiada Norwid[5]).

Bez owej „stałości umysłu" t. j. bez pogłębienia umysłem „w pocie czoła" dzieła, poczętego w Miłości, bez ustalenia niewzruszonych zasad metafizycznych, praca artysty oddana kolektywowi: narodowi jeśli „wybawi naród", to będzie to jednak tylko naród „automatów".

Będą tam, zamiast rozwinięcia rzeczy,
Takie, owakie fazy gorączkowe —
Po tej, co twierdzi, ta druga, co przeczy,
Obiedwie warte tyle, ile nowe.
I wszystkie razem w tem tylko zdradliwe,
Że każdej naprzód zmierzona jest trwałość,
I wszystkie zawsze w końcu nieszczęśliwe[6]).

[1]) „Promethidion".
[2]) Ibidem.
[3]) Ibidem.

[1]) W „Promethidionie" Norwid raz powiada, że „piękno kształtem jest Miłości", to znów, że jest „profilem Bożym".
[2]) „Promethidion".
[3]) „Assunta".
[4]) „Praca". Wybór poezyj C. N. Zebrał Cywiński. Kraków, 1924, str. 174.
[5]) Ibidem.
[6]) Ibidem.

Odnosząc te słowa do czasów obecnych, musimy przyznać, że teorje Broniewskiego i Millera należą właśnie do „faz gorączkowych“, których *„zmierzona jest trwałość“*. Świadectwo w tej sprawie wystawiają sobie nawzajem Miller i Broniewski.

Miller pisze:

Wobec tych globowych i kosmicznych wysiłków człowieka pracującego, w perspektywie wieków tych, które przeszły i tych, które miną, podejście do pracy z jedyną miarą stosunku wartości do nadwartości, krzywdy robotnika i wyzysku kapitalisty — jest doktrynerskiem przestawianiem pojęć, rezygnacją z oczu na rzecz węchu i dotyku [1]).

A Broniewski:

Ogromna większość pisarzy polskich znalazła się więc świadomie lub nieświadomie w obozie kapitalizmu, reakcji i co za tem idzie filozofji idealistycznej. Próby wyrwania się z tego kręgu drogą tworzenia jakichś nowych koncepcyj były w dobrym wypadku naiwnym utopizmem („górą, górą“), w złym — świadomym szwindlem intelektualnym. Na tem tle powstała hiperprodukcja idej we współczesnej poezji polskiej, głoszącej równocześnie kosmiczny pacyfizm i katolicki socjalizm, ewangelję zbratania wszystkich z wszystkimi i kult „słowa“ i wreszcie tak zwaną poezję pracy [2]).

Tak „uniwersalizm“, że tak powiem, materjalistyczny, „poezja pracy“ fizycznej i „poezja proletarjacka“, nawet we wzajemnej ocenie, schodzą do rzędu „doktryn“ o meteorycznem istnieniu lub „szwindlów intelektualnych“, dzięki temu że nie zdolne są ująć istoty poezji *sub specie aeternitatis* ani wzbić się ponad snobistyczny materjalizm i koteryjny socjalizm.

Co do Norwidowych poglądów na poezję, to nietylko muszą się one ostać wobec nowych teoryj, owszem nabierają przy nich jeszcze większej siły. Głosząc zasady wieczystej i wielkiej poezji, uwydatniają one bezwład doktrynerskich teoryj różnych specyficznych sezonowych poezyjek. Nie da się zarzucić Norwidowi wybujałego indywidualizmu, ani jałowej „uniwersalistycznej tęsknoty“. Nie można go też zepchnąć w zamknięty krąg przeżytków „burżuazyjnych“ jako filar kapitalizmu, czy szlachetczyzny. Myśl jego głębiej i ze szlachetniejszą intencją przenika w środowisko spracowanych „proletarjuszy“, niż myśl wielu dzisiejszych „poetów proletarjackich“, pragnąc wszystkich pracujących podnieść do godności artystów.

Najprostszy cieśla, co robi toporem,
Choćby on nie wiem jak był pracowity,
Chociażby cieśli tyryjskich był wzorem,
Jeżeli w duszy smutek ma ukryty,
Lub trumnę robi, gdy dławi go żałość,
Łzy własne widząc w żelaza połysku,
Wyrobić musi wpierw umysłu stałość,
Bez której nie ma siły — nawet zysku [1]).

A w „Promethidionie“ poeta woła o przepojenie pięknem każdej pracy, każdej rzeczy w otoczeniu proletarjackiem.

. . . . . więc mi smutno,
Że mazowieckie ani jedno płótno
Nie jest sztandarem sztuce — że ciosowy
W krakowskiem kamień zapomniał rozmowy,
Że wszystkie chaty chłopskie krzywe, że kościoły
Nie na ogiwie polskim stoją, że stodoły
Za długie, świętych figury patronów
Bez wyrazu — od szczytu wież aż do zagonów
Rozbiorem kraju forma pokrzywdzona woła
O łokieć z trzciny w ręku pańskiego anioła.

Nie przesądzam, o czem będzie mówić nam „poezja jutra w Polsce“. Przekonany jestem, że genjusz ludzki, a w szczególności genjusz poezji polskiej nie wyczerpał się o tyle, by treść świata ideału t. j. sztuki i poezji miała być zapełniona walką o byt i dobrobyt tej czy owej klasy, czy też płaskiej i płytkiej „ludzkości“. Praca artystów, pojęta według Norwida, jeszcze nieraz potrafi wykazać światu rzeczywistość życia duchowego, które się dziś usiłuje zepchnąć do rzędu iluzorycznych filarów „burżuazyjnego“ ustroju społeczeństw.

Wł. Arcimowicz.

[1]) „Poezja pracy a poezja proletarjacka“. Wiad. Lit., 1928 Nr. 19.
[2]) „Wczoraj i jutro poezji w Polsce“. Wiad. Lit., Nr. 212 r. 1928.

[1]) „Praca“.

Szopka myślooddawców.

Przedstawienie tegorocznej Szopki opuszcza się z ciężkiem westchnieniem współczującego serca. Biedna tradycjo szopkarska, która takich doczekałaś czasów! Miałoby się ochotę deklamować z wieszczem — conferencier'em: „Kto z nas tych lat nie pomni...“, gdy na Uniwerku tryskał jeszcze prawdziwy dowcip. Dziś już nie „tryska“, ale wylęga się gdzieś w zwojach mózgowych intelektualistów. Sztuczna wylęgarnia, niestety, najbardziej nie służy właśnie... dowcipowi. Stąd to anemiczne dziecię blado wygląda nawet na tle dekoracyj i reflektorów i budzi łatwo zrozumiałe współczucie. To pierwsze wrażenie starego studenta.

Tegoroczna Szopka zdradza objaw wyjałowienia Szopki akademickiej wogóle, objaw dostrzegalny od kilku lat. Brak zdecydowanego trzonu akcji, brak elementarnej konstrukcji. Mechaniczny podział na 3 akty nie tworzy jeszcze właściwej budowy, gdyż zarówno w obrębie każdego aktu jak i całości nie można wyróżnić jakiejś linji zasadniczej, spójni logicznej i dramatycznej tekstu. Szopkarze dali się znęcić wesołej dróżce najmniejszego oporu: zestawili dostarczone im wierszyki w dosyć dowolnym układzie, usiłując załatać powstałe między niemi dziury bladą paplaniną nieszczęsnego conferencier'a, jedyny zresztą ślad jednolitej myśli, stapiającej poszczególne fragmenty w całość. Nie kwestjonując już samego wyboru motywów, które posłużyły za trzon aktów, oczekiwałoby się większej konsekwencji i logiki w budowie wewnętrznej każdego aktu: tymczasem zdziwionym naszym oczom w zapowiedzianych „Igrach ku czci Wyspiańskiego“ ukazują się Wyszomirski, Miłosz i Mackiewicz i przeprowadzają rozmowę na tematy całkiem uboczne. Dygresja wprawdzie cenna, ale rozbija budowę. Wogóle 2-gi akt szopki, wspomniane wyżej „Igry“, wypadł bardzo słabo: kończąca ten akt trawestacja Słowackiego nadmiernie przedłużona i stąd mało efektowna. Zato ostatni akord głęboko liryczny i napewno szczery...

Dobór motywów i postaci nie wydaje mi się specjalnie szczęśliwy; nie wykorzystano wielu aktualnych możliwości, odgrzebano stare kawałki. Zato teksty niektórych osobistości zdradzają dosyć wyraźnie sympatje autorów. To „zabarwienie uczuciowe“, chwilami dające nawet rzewne efekty, wybija charakterystyczne piętno na całej Szopce. Czasem dają się słyszeć dosyć zgrzytliwe akordy, gdy z nibyto dobrodusznych wierszyków zbyt obficie wycieka żółć; oczywiście w takiej kąpieli bez śladu ginie zamierzony dowcip. Sytuacji nie ratują nawet dość hojnie zaaplikowane trywjalności—również zdobycz ostatniej doby. Niestety, dosyć często się to zdarza. Wogóle los dowcipu w tegorocznej Szopce godny jest współczucia: ginie biedak marnie albo zalany żółcią, albo pod brzemieniem swego własnego, stupudowego ciężaru. Autorowie przecenili jego wytrzymałość; przypuszczam, że reakcja publiczności rozwiała ich iluzje. Lwia część t. zw. dowcipów obliczona była na dosyć prymitywną psychikę widzów. A szkoda...

Na szczęście wyżej omówione braki ratuje techniczna strona Szopki. Na specjalne wyróżnienie zasługują dekoracje, świetnie skomponowane, jedynie może nieco zbyt jaskrawe, na czem tracą zresztą tylko barwne walory lalek. Specjalną uwagę, jak zwykle, zwrócono na główki: Charakterystyczny Wyspiański, Obst, Bossowski i Wyszomirski, Hitler, policjant oraz znane z zeszłorocznej Szopki świetne główki Ochockiego i Dembińskiego. Zdaje się, większość wymienionych główek rzeźbił Godziszewski, mistrz w tej dziedzinie.

Wspomnieć należy zapoznawaną zwykle, acz żmudną pracę ubierania lalek. W tej dziedzinie mamy wspaniałe „kreacje“ — lalka Wyrwicza, budząca najwięcej zachwytów publiczności, pomysłowy Żubr — Mackiewicz i Torreador — Wyszomirski, Gisted, Dziewicka i inne.

Gdzie dawny, beztroski i pozbawiony cienia złośliwości humor studencki, humor dawnych szopkarzy, tych ze Sztuki, lub zespołu „Bandy“?

Gdzie się podziała tradycyjna część Szopki, tak pasująca do Wilna, miasta kościołów? Przyszło „Nowe Wilno“ i po nowemu robi. Może to i lepiej, może uwagi powyższe — czczem ględzeniem stetryczałego filistra, „nie tak in illo tempore bywało“. Grunt, że pomimo wszelkich przeciwności, pomimo rozbicia się tylu zespołów, wyfrunięcia w szeroki świat tylu szopkarzy — Szopka jeszcze trwa i nas bawi.

J. Sł.

„Jedność większa od dwóch".

Przed kilkoma dniami trafił mi do rąk „Dziennik Wileński" z dn. 23. I. b. r. z „Ruchem Młodych" na 4 stronie. Młodzi się ruszają. Zrozumiałe to, piękne i pocieszające. Jest i kierunek ruchu i cel, do którego się dąży, są i prawa ten ruch regulujące. Mam na myśli zagadnienie moralności, poruszone w artykule kol. Siemaszki, zatytułowanym: *Perfidna moralność „państwowców"*. Nie mam zamiaru polemizować z kol. S. co do zasad moralnych „państwowców". Nie chodzi mi o „perfidną" czy „nieperfidną" moralność „państwowców", „narodowców" czy innych „owców", lecz o moralność *chrześcijańską*, moralność opartą na ewangelji. Kol. Siemaszko, poruszając kwestję antysemityzmu, pisze:

> By mówić o moralności w tej kwestji, trzeba przedewszystkiem znać podstawy wychowawcze naszego narodu i żydów. Są niemi ewangelja i talmud — chrześcijańska idea miłości bliźniego i „oko za oko, ząb za ząb". I gdy się weźmie pod uwagę t. zw. dwoistą etykę żydowską, inną w stosunku do żydów niż do gojów (chrześcijan), jasnem się staje konieczność pielęgnowania prawdziwej etyki chrześcijańskiej, przeciwdziałania talmudycznym wpływom.

Jedność i dwoistość etyki. Chrześcijańska etyka jest wyższa przez to, że jest *jedna* dla wszystkich i w stosunku do wszystkich. Jasną jest więc konieczność pielęgnowania prawdziwej etyki chrześcijańskiej. — Ale... czy czasami nie grozi nam niebezpieczeństwo *przepielęgnowania* jej? pominięcia tego, co w niej jest istotne, a co chcemy pielęgnować t. j. owej jedności? Bieg myśli w artykule kol. Siemaszki, a więc i myśli tych, w imieniu których kol. S. pisze: „my", „czynimy", „widzimy" — oraz konsekwentnie wyprowadzony wniosek z tych myśli upoważnia do takiego przypuszczenia. Talmudycznym wpływom chce się „przeciwdziałać" „etyką chrześcijańską", ale zniżoną, upodobnioną do talmudycznej, zbliżoną do niej, dwoistą jak ona: inną dla — inną dla... bo skoro do nas tak, dlaczego my mamy inaczej? Ale to już nie jest chrześcijańska idea miłości bliźniego — „miłujcie nieprzyjacioły wasze" — to jest owo talmudyczne „oko za oko..."— to przeciwstawianie się nie talmudowi, lecz *ewangelji*.

Chrystus poniósł dobrowolnie śmierć z miłości dla ludzkości całej, aby ją zbawić. My chcemy zabijać (ograniczać, usuwać, niszczyć) — z miłości do siebie samych. Wprawdzie „czynimy to w imię dobra narodu, jego kultury i religji". Czy jednak artykuły ziejące nienawiścią działają dla dobra i zgodnie z istotną treścią religji? — religji, u której podstaw świeci „chrześcijańska idea miłości bliźniego"?

„W imię dobra narodu"—potem—„jego kultury"—wreszcie — „jego religji". Czy jednak nie jest to zasadniczem mijaniem się z powszechnością nauki Chrystusa? „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody..." Nauczajcie słowem, czynem, miłością... A nie: idźcie i ograniczajcie, usuwajcie i niszczcie inne narody, „w imię dobra" swego narodu... Dobro narodu. Etyka narodowców — wszystko dla Narodu... Lecz zaraz „ale" — „Dobru" jednego narodu przeciwstawia się „dobro" drugiego. A więc — walka.

Dobro Państwa. Etyka państwowców — wszystko dla państwa. Państwo staje się potworem, pożerającym własnych obywateli. W imię dobra państwa... Ten sam nonsens. — Bo przecie działać zgodnie z etyką chrześcijańską, opartą na zasadach ewangelicznych, a nie urobioną na podobieństwo talmudu, to działać nie w imię dobra narodu, państwa, czy innego tworu ludzkiego, ale w imię Najwyższej Idei Dobra — Dobra Absolutnego—Boga. Z tem Dobrem nie koliduje żadne inne. Ono jest jedno. Walczyć w imię Samego Dobra, to walczyć ze złem. To nie walka z innym człowiekiem, inną organizacją, innym narodem, ustrojem, państwem, — to walka ze złem samem. Tu niema miejsca na wzajemne pożeranie się, parskanie nienawiścią, z jednoczesnem podkreślaniem idei chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Zbyt jaskrawy zachodzi kontrast między całością myśli i tonu artykułu kol. S. a owemi ideami, na które się powołuje. Już sam tytuł: „Perfidna moralność..." uderza raczej nastawieniem: „oko za oko" niż spokojną, zrównoważoną chrześcijańską ideą miłości bliźniego. Podkreślam raz jeszcze, że nie chodzi mi o polemizowanie z kol. S. co do moralności „państwowców". Zastanawia mnie jednak sam fakt działalności w duchu tego artykułu. Działalność taka wydaje mi się w każdym calu destrukcyjną: obniża, zdaniem mojem, wartość, zmniejsza wielkość etyki chrześcijańskiej, przez upodobnianie jej do tej, z którą się walczy; wytwarza atmosferę złośliwości, pogardy, nienawiści — zamiast miłości. Czy w podobnym wypadku Idea nie jest w sprzeczności z jej „pielęgniarzami"? Czy to nie jest rozdzielaniem jedności etyki chrześcijańskiej na drobne „etyczki" w zależności od naszych potrzeb?

Zagadnienie to poruszam za kol. S. w niniejszym artykule z gorącem życzeniem szerokiej wymiany myśli w tym przedmiocie, z głębokiem pragnieniem ujednostajnienia, złączenia i zharmonizowania myśli i czynów w dążeniu do Prawdy i Dobra.

Zagadnienie to uważam bowiem za najistotniejsze dla współżycia zarówno jednostek, jak społeczeństw ludzkich. Od jego rozwiązania (teoretycznego i praktycznego) uzależniony jest cały ład moralny — ład polityczny, społeczny, gospodarczy — narodów, państw, ludzkości... Wszelka mechaniczna naprawa „ustrojów" i „nastrojów" jest na nic! Nastawienie zasadnicze w dziedzinie moralności, — to kwestja bytu ludzkości. Dążenie do ujednostajnienia zasad etycznych wszystkich ludzi — to zadanie nauki Chrystusa. — Sprowadzenie ich do jedności — to zbawienie ludzkości, to Królestwo Boże na ziemi.

I jedynie świadomy wysiłek, świadoma praca wszystkich ludzi dobrej woli w kierunku znalezienia jednej płaszczyzny moralnej, na której możnaby postawić wszystkie zagadnienia życia, potrafi osiągnąć pozytywne i niezawodne rezultaty w rozwikływaniu splotu tych zagadnień. Właściwie nastawiony duch i zdrowy, niespaczony umysł płaszczyznę tę dostrzegają: jest nią głęboko pojęta i konsekwentnie wprowadzana w życie etyka Chrystusowa. Dąży bowiem nie do „usuwania wrzodów" — jak chce kol. S. — lecz do ich leczenia, — nie do wyniszczania, lecz przetwarzania, budowy, doskonalenia... „Nie znosić Zakon, ale uzupełnić" przyszedł Chrystus na ziemię. Zbawić ludzkość całą, — nie zaś stworzyć „dobro" takiemu, czy innemu „wybranemu" narodowi.

Przeistoczyć, zmienić, przetworzyć świat, wnosząc weń ład moralny wszystkich istot rozumnych — to wielkie, wiekowe zadanie katolicyzmu. Dzisiejsi katolicy są dalecy od tego. Dziś grzęzną oni w dążeniach do „dobra" narodu, państwa, klasy, czy partji nawet, posługując się katolicyzmem w miarę potrzeby, powołując się na jego wielkie idee, przy realizowaniu swych małych celów. Nie sztuka niszczyć, sztuka tworzyć. Nie wyszukiwanie wszędzie poza nami złych stron i przeciwstawianie im równie złych, lecz szukanie wszędzie Dobra samego, Prawdy samej — to praca twórcza na każdem polu.

Nie rozdzielać, co jedno, lecz jednoczyć, co rozdzielone — bo w tej dziedzinie: „Jedność większa od dwóch".

J. Bartoszewicz.

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna. ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie.